

# Grzechy ciągle te same

1 lutego 2024

Kiedy zaczęła się degrengolada polskiego sądownictwa, którą obecnie obserwujemy w całej straszliwej postaci, a która – jeśli nikt nie położy kresu temu burdelowi – doprowadzi do obezwładnienia całego państwa – jak to było w wieku XVIII? W wieku XVIII degrengolada polskiego sądownictwa była może nawet jeszcze większa niż dzisiaj – czemu znakomite świadectwo wystawia ksiądz Jędrzej Kitowicz w „Opisie obyczajów za panowania Augusta III”.

Czytamy tam m.in.: „W wigilię św. Tomasza już nie było żadnych perorów, na ceremonii przystępowali deputaci do przysięgi, którą od nich ziemstwo odbierało, jako sądził według Boga, sumienia i prawa i jako nie brał korupcyi. Każdy deputat taką rotą przysięgał, ale nie każdy sumieniem spokojnym i głosem wyraźnym wymawiał te słowa. Byli tacy, których kaszel dusił, choć go przed przysięgą i po przysiędze nie cierpieli, usta im bladły i ręka położona na krucyfiksie trzęsła się jak w paroksyzmie febry. Ile kiedy na niektórych pacjenci przytomni wołali z boku: Bój się Boga, nie przysięgaj, otoś brał korupcyją, oto te rumaki zaprzężone do karety, oto te bryki załadowane sprzętami, którycheś ze sobą nie przywiózł, wydają cię, żeś przedawał sprawiedliwość! – deputat jednak, choć struchlały na poły, kończył co prędzej przysięgę; a te skończywszy, co tchu siadał do powozu i uciekał z Lublina”.

Dzisiaj z racji rozdziału Kościoła od państwa i w ogóle – zamierającej wiary w życie wieczne – nikt od sędziów żadnych przysięg nie wymaga, a gdyby nawet komuś przyszedł taki pomysł do głowy, to na nikim nie robiłoby to żadnego wrażenia. Jedną z przyczyn lekceważenia solennych przysięg wywodzi się z komunizmu. Wtedy na przykład każdy żołnierz z poboru składał przysięgę między innymi na „sojusz z bratnią Armią Radziecką i innymi sojusznicznymi armiami” – ale nie sądzę, żeby ktokolwiek traktował to poważnie. Toteż kiedy 13 grudnia ub. roku vaginet

Donald Tuska składał na ręce prezydenta Dudy przysięgę, że „dobro ojczyzny” będzie dla każdego „najwyższym nakazem”, to wszyscy wiedzieli, że to tylko taki pic na wodę, bo prawdziwym programem woginetu jest „j\*\*\*ć PiS”, zaś „najwyższe nakazy” płyną z niemieckiej BND. Nawiasem mówiąc, pod pewnym względem za komuny było lepiej, bo jeśli taki jeden z drugim sędzia nie dostał z partii czy bezpieki rozkazu, by z delikwenta zrobić w majestacie prawa marmoladę, to na wszelki wypadek zachowywał się przyzwoicie, bo nigdy nie wiedział, czy stojący przed nim jegomość nie ma przypadkiem mocnych pleców w partii, czy bezpiece. Owszem, zdarzały się wyjątki, jak na przykład sędzia Andrzej Mogielnicki z Puław, który w stanie wojennym uniewinnił tamtejszych solidarnościowców, postawionych przed sądem za sporządzenie karykatur Leonida Breżniewa. Ale to były wyjątki, podczas gdy regułą było nadawanie formy wyroków życzeniom partii, bezpieki czy przełożonych wojskowych. Na przykład sąd Marynarki Wojennej skazał na 10 lat więzienia panią Ewę Kubasiewicz za jedną ulotkę, z którą została złapana na terenie Szkoły Morskiej w Gdyni.

Po latach niezawisli sędziowie przyznali się, że tak im kazał admirał Janczyszyn – ale nie przypominam sobie, by za takową psotę spotkała ich jakaś kara. Tymczasem na dobry porządek powinni dostać wilczy bilet, podobnie jak ten prezes Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Najwyższego, z którym totumfacki sezonowego marszałka Sejmu, pana Szymona Hołowni namawiał się na przyjęcie sprawy panów Kamińskiego i Wąsika i na wydanie pięknych wyroków. Oczywiście nic z tego nie będzie, bo podobno ów pan jest jakimś działaczem sędziowskiej partii politycznej „Iniuria”, czy może „Iustitia”, co w praktyce na jedno wychodzi. Toteż sympatyzujące z tą partią towarzycho, zdalnie kierowane przez Judenrat „Gazety Wyborczej”, usłużnie roztacza nad członkami tej organizacji nimb płomiennych szermierzy praworządności. Ostatnio zauważyłem, że gardłuje za nimi również pan prof. Andrzej Zoll.

A tak się akurat złożyło, że 30 grudnia zmarł prof. Wojciech

Łączkowski, który w latach 1989-1997 był sędzią Trybunału Konstytucyjnego, podobnie jak pan prof. Zoll. W lipcu 1992 roku Trybunał rozpoznawał skargę, jaką obrońcy konfidentów złożyli na uchwałę lustracyjną Sejmu – że niby jest sprzeczna z konstytucją. Jak wiadomo, Trybunał uznał, że uchwała jest z konstytucją sprzeczna i ją uchylił. Votum separatum od tego orzeczenia złożył jedynie prof. Wojciech Łączkowski. Chodziło o to, że ustawa o Trybunale Konstytucyjnym pozwalała mu na badanie zgodności z konstytucją ustaw i innych aktów prawnych. Akt prawny ma to do siebie, że jest skierowany do bliżej nieokreślonej liczby adresatów, na ogół – wszystkich obywateli. Tymczasem uchwała lustracyjna Sejmu była poleceniem skierowanym do jednego człowieka – Ministra Spraw Wewnętrznych – żeby dostarczył Sejmowi pewnych informacji. Nie była zatem „aktem prawnym” w rozumieniu ustawy, w związku z czym Trybunał w ogóle nie powinien się nią zajmować. Takie właśnie stanowisko zajął pan prof. Wojciech Łączkowski – ale okazał się jedynym sprawiedliwym w Sodomie.

Ale na tym nie koniec, bo z jakichś powodów, których dzisiaj już nie pamiętam, Trybunał musiał dostać polecenie, żeby sprawę nielegalności uchwały lustracyjnej załatwił na poczekaniu. Najwyraźniej agenci chyba już przestępowali z nogi na nogę z niecierpliwości. Tak się złożyło, że uczestniczyłem w tej rozprawie w charakterze publiczności. O godzinie 14.30 rozprawa się zakończyła, a pan prof. Zoll poinformował, że ogłoszenie wyroku nastąpi o godzinie 16. I rzeczywiście – o godzinie 16 Trybunał wmaszerował na salę, zasiadł za stołem, a następnie pan prof. Zoll odczytał wyrok oraz... 30 stron maszynopisu uzasadnienia! Kiedy już po wszystkim wychodziłem stamtąd z panem mecenasem Bednarkiewiczem, który stawał na tej rozprawie w imieniu Sejmu, powiedział z goryczą, że gdyby ogłoszenie wyroku Trybunał odroczył choćby o jeden dzień, to te 30 stron uzasadnienia wyglądałoby trochę przyzwoiciej. Ano, nie da się ukryć, ale widocznie bezpieczniacy nacisnęli.

Wspominam o tamtym incydencie nie tylko dlatego, żeby pan

prof. Zoll trochę się zreflektował – bo szczerze mówiąc, nie mam na to specjalnej nadziei – ale przede wszystkim dlatego, że wtedy właśnie nasi Umiłowani Przywódcy, a także spora część opinii publicznej – częściowo chyba osobiście tym zainteresowanej – usankcjonowali obecność agentury w strukturach państwa. A to właśnie agentura, rozpanoszona i bezkarna, doprowadziła w XVIII wieku do obezwładnienia państwa i w konsekwencji – do jego likwidacji, podobnie jak obecnie uplasowana m.in. w środowisku sędziowskim pogrąża państwo w anarchii, żeby Niemcy miały łatwiej przerobić Rzeczpospolitą Polską w Generalne Gubernatorstwo.

Autorstwo: Stanisław Michałkiewicz

Źródło: [Nczas.info](http://Nczas.info)